

Młot na czarownice

Rozdział szósty: Przesłuchanie

25 lutego 1692 roku, pod naciskiem Thomasa Putnama i innych prominentnych farmerów, którzy od tygodni domagali się, by „oczyścić osadę z plugawstwa”, sędzia Jonathan Corwin – mężczyzna o twarzy, która nie wyrażała niczego poza głębokim, nieprzeniknionym zmęczeniem – rozpoczął wstępne przesłuchania. Pierwszą wezwaną była Tituba. Parris wydał ją bez wahania – w jego oczach była już skazana, zanim wypowiedziała pierwsze słowo. Wprowadzono ją do sali, która służyła jako tymczasowa izba sądowa – był to zwykły dom, zwykły pokój, ale w powietrzu wisiała ta szczególna, ciężka atmosfera, która zwiastuje, że to, co się tu za chwilę wydarzy, nie będzie miało nic wspólnego ze sprawiedliwością. Hale siedział z boku, notatnik otwarty na kolanach. Patrzył na Titubę. Ona patrzyła na podłogę. Sędzia Corwin zapytał: „Czy masz w sobie ducha czarta?” Tituba milczała przez długą chwilę. Wreszcie podniosła wzrok. Jej oczy – ciemne, głębokie, otoczone sińcami od bezsennych nocy – spotkały się z oczami sędziego.

— Nie wiem, kim jest czart, którego znacie — powiedziała. Jej głos był spokojny, ale w tym spokoju kryło się coś, co Hale później opisał w notatniku jako „zmęczenie istoty, która widziała zbyt wiele, by jeszcze cokolwiek mogło ją przerazić”. — Wiem, że jest coś pod ziemią. Coś, co śpi. Coś, co się budzi. — Czy to czart? — naciskał Corwin. — To nie jest żaden czart — odparła Tituba. — Czart jest sługą Boga, nawet jeśli zbuntowanym. To, co śpi pod nami, nie zna Boga. Nie zna żadnego boga. Ono jest samo dla siebie początkiem i końcem. W sali zrobiło się cicho. Nawet Putnam, który przyszedł, by patrzeć, wstrzymał oddech. — Więc co to jest? — zapytał Corwin. Jego głos stracił nieco z urzędowego tonu. Zabrzmiął

w nim – po raz pierwszy – cień prawdziwego, ludzkiego strachu. Tituba zamknęła oczy. Gdy je otworzyła, Hale zauważył, że coś w nich się zmieniło. Nie kolor – kolor pozostał ten sam. Ale głębia. Jakby ktoś otworzył okno w piwnicy i wpuścił przeciąg z ciemności. — To jest Głęboki, który śpi — powiedziała. — Indianie, którzy tu byli przed wami, znali go. Znali i bali się. Zakopali go żywcem pod lasem i odeszli. Ale on nie umarł. On tylko czekał. A teraz wasze modlitwy, wasze spory, wasza krew przelana na tej ziemi – wszystko to go karmi. Każde uderzenie młotem, każdy wyrok śmierci, każde dziecko, które umiera przy porodzie – to wszystko spływa w dół. Do niego.

— Błuznierstwo! — krzyknął Parris z tylnej ławy. — Ta kobieta mówi z ust czarta! Każcie jej wyznać prawdę!

— Mówię prawdę — rzekła Tituba. I w tym momencie jej głos zmienił barwę. Stał się głębszy, bardziej rezonansowy, jakby mówiła nie tylko swoimi strunami głosowymi, ale także czymś, co rezonowało w jej kościach. — Pokażę wam. Jeśli chcecie prawdy, pokażę wam. I zaczęła mówić. Mówiła o czarnej księdze, której nikt nie widział, ale która leżała otwarta na ołtarzu z kamieni w głębi lasu. Mówiła o szczurach, które chodziły na dwóch łapach i patrzyły na ludzi oczami niemowląt. Mówiła o mężczyźnie w czarnym kapeluszu, który przyszedł do niej w nocy – nie jako kochanek, nie jako kusiciel, ale jako sługa. Sługa czegoś, co nie mogło samo przyjść, bo było zbyt wielkie, by zmieścić się w ludzkiej świadomości. — Zapytałam go, kim jest — mówiła Tituba, a łzy płynęły po jej policzkach, choć jej głos pozostawał dziwnie spokojny. — Odpowiedział: „Jestem tym, który był tu przed drzewami. Przed życiem. Przed światłem. Jestem tym, który widział, jak woda oddzielała się od wody, i który czekał, aż wróci”. Hale zapisywał każde słowo. Ale jego ręka drżała. Nie ze strachu przed treścią. Drżała, bo rozpoznawał ten motyw. Przed drzewami. Przed życiem. Przed

światłem. To nie był język Biblii. To był język znacznie starszych kosmogonii – opisów czasu przed stworzeniem, gdy duch Boży unosił się nad wodami, a w głębinach czaiło się coś, co nie zostało nazwane, bo może i sam Bóg nie chciał temu nadać imienia. Tituba mówiła dalej. Opisała rytuały, których była świadkiem – nie w Salem, ale w Barbados, na wyspie, gdzie ziemia była gorąca i śmierdziała siarką, a woda w studniach czasem podnosiła się sama, bez deszczu, bez przyczyny. Opisała ludzi, którzy schodzili nadzy do jam wykopanych w ziemi i śpiewali piosenki bez słów, piosenki, które składały się tylko z oddechów i mlasków, jakby próbowali mówić językiem, który nie używa ust. — A potem — wyszeptała Tituba — przychodziła ona. — Kto? — zapytał Corwin. Jego twarz była biała jak prześcieradło. — Matka Rozpadliny. Ta, która mieszka pod dnem oceanu. Ona nie jest boginią, nie jest demonem. Jest matką, ale nie taką, jak znacie. Rodzi, nie dając życia. Jej dzieci rodzą się martwe, ale chodzą. Jej dzieci mówią, ale nie mają języka. Jej dzieci kochają, ale ich miłość to dziura, która wsysa wszystko do środka. W sali zapadła cisza. Nawet Parris nie miał odwagi przerwać. Tituba podniosła rękę i wskazała na podłogę. — Ona jest pod nami. Zawsze była. Ale teraz – teraz ktoś otworzył drzwi. Ktoś w tej osadzie – ktoś, kto chodzi między wami – wezwał ją. Nie wiem kto. Ale wiem, że jeśli nie zamkniecie drzwi, zanim nadejdzie wiosna, ona przyjdzie. Nie w ciele – jej ciało jest zbyt wielkie, by stanąć na tej ziemi. Przyjdzie w waszych snach. Przyjdzie w głosach waszych dzieci. Przyjdzie w kształtach, które zobaczycie na skraju lasu, a potem nie będziecie mogli ich zapamiętać.

Przesłuchanie zakończyło się po trzech godzinach. Tituba została odprowadzona do lochu – prowizorycznej celi w piwnicy domu Corwina, gdzie czekały na proces inne oskarżone. Hale wrócił do swojej izby i przez całą noc nie spał. W notatniku zapisał: „Tituba nie kłamie. To nie są zeznania konfabulowane pod przymusem. To jest opis. Opis czegoś, co

istnieje. Muszę sprawdzić stare mapy. Muszę znaleźć to miejsce, które Indianie nazywali »miejszem, gdzie ziemia jest cienka«."